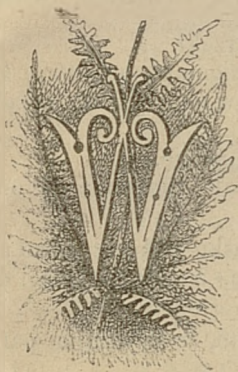




## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### Siedmdziesięcioletnia rocznica.

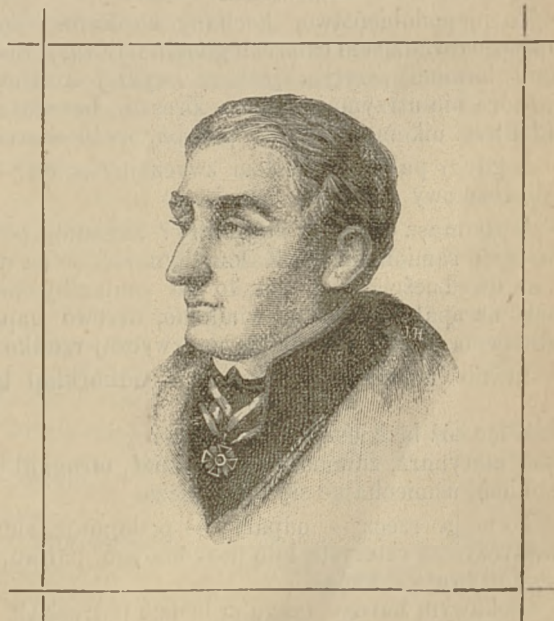


arszawski instytut głuchoniemych ukończył obecnie 75 lat swego istnienia. Oddawna w wielu krajach Europy, ludzie natchnieni miłością bliźniego, czynili próby nauczania głuchoniemych, a mianowicie w 1570 roku, poświęcał się temu w Hiszpani zakonnik benedyktyński Pedro de Pon-

ce. Pierwszy wszakże instytut dla głuchoniemych założył w Paryżu ks. Michał de l'Epée, słynny z dzieł chrześcijańskiego miłosierdzia. U nas podobnym dobroczyńcą dotkniętych tem kalectwem, był pijar ks. Jakób Falkowski, którego wizerunek podajemy obecnie, również jak wzniesionego za jego staraniem gmachu instytutu i mieszczącej się w tymże kaplicy.

Oddział ociemniałych którego ks. Falkowski nie mógł założyć dla braku potrzebnych na ten cel funduszy, zawdzięcza swe istnienie ks. Józefatowi Szczygielskiemu, który również nie małe położył zasługi dla całej instytucji, będąc jej kierownikiem. W rozwoju swym dalszym instytut zawdzięcza wiele zmarłemu przed kilku laty dyrektorowi Janowi Papłońskiemu, który postanowił go urządzić na wzór najpierwszych europejskich zakładów tego rodzaju, i sercem prawdziwie ojcowiskiem opiekował się nieszczęśliwymi kalekami. Obecnie kształci się w zakładzie 164 głuchoniemych chłopców i dziewcząt, oraz 34 ociemniałych. Podobnaż liczba tych ostatnich znajduje pomieszczenie w oddziale istniejącym przy ulicy Piwnej. Jest to zaledwie jedna część dotkniętych tem kalectwem mieszkańców kraju. Pożądane też byłoby ofiary na rozszerzenie instytutu.

Dzisiejsi wychowawcy zachowują wdzięczną pamięć pierwszego swego dobroczyńcy księdza Falkowskiego, i zwykle w rocznicę jego imienin odprawia się nabożeństwo, po którym składają wieńce na jego grobie.



Ks. JAKÓB FALKOWSKI.

### BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Więc z pierwszą burzą, inżynierze?

— Z pierwszą burzą, kapitanie.

Pomysł Gromskiego, jak widzimy, był równie oryginalny, jak zuchwały.



W balonie, napelnionym parą wodną, przelecieć ponad rozległym kontynentem i ponad oceanem!

Podobny zamiar mógł się tylko zrodzić w głowach szaleńców, lub ludzi, nie mających nic do stracenia.

Nasi żeglarze należeli właśnie do tych ostatnich.

Nie posiadając ani schronienia, ani opału i żywności, musieliby zginąć za nadejściem pierwszych mrozów i zawieci śnieżnych; przekładali więc walkę ze słabą nadzieją zwycięstwa nad biernie poddanie się losowi.

Gromski, zawsze pełen energii, kiedy chodziło o wykonanie jakiegoś śmiałego przedsięwzięcia, z zapałem wziął się do pracy.

Przedewszystkiem zbadał balon, aby przekonać się, ile jeszcze pozostało w nim gazu.

Należało przelać resztki wodoru do jakiegoś osobnego zbiornika; kapitan wątpił, czy się to uda zrobić: Gromski jednak poradził sobie bardzo prosto: zgromadził całą zawartość aerostatu w jednym końcu powłoki i następnie wpędził wodór do wnętrza pustego balonika powietrznego.

Inżynier dla zupełnego napełnienia aerostatu potrzebował 3,000 metrów sześciennych pary wodnej; ponieważ zaś jeden metr tej ostatniej waży w okrągłej liczbie 800 gramów, przeto należało wyparować razem 2,400 kilogramów wody. Kilogram tego płynu, ulatniając się, pochłania 525 jednostek ciepła.

Na podstawie tej inżynier obrachował, iż dla otrzymania żądanej ilości pary, trzeba rozporządzać w praktyce trzema milionami z górą kaloryj. \*)

— Zdaje mi się, iż spaliwszy nasze 500 metrów kubicznych wodoru, którego kilogram daje 3,500 ciepłostek, otrzymamy połowę zaledwie potrzebnej nam pary, — zauważył Ford, kiedy skończono napełniać gazem mały balonik.

— W istocie, nasz wodór waży zaledwie 50 kilogramów, a powinniśmy go mieć ze sto przynajmniej, — odparł zafrasowany tem spostrzeżeniem Gromski.

— Cóż więc robić? Czyby się nie puścić małym balonikiem? Zdaje mi się, że zdołałby nas unieść.

— To niepodobieństwo, kochany kapitanie; spadlibyśmy po upływie dwudziestu czterech godzin najdalej, wewnętrzny balonik bowiem zszyty jest ze zwykłej kitajki lakierowanej, która nie utrzymuje gazu. Zresztą, bez siatki i łódki nie radziłbym nikomu odbywać podróży uadpowietrznej.

— A gdyby palić pod kotłem zwyczajny ogień? — wniósł się do rozmowy James,

— A czy masz drzewo, mój stary? zagadnął go Gromski, wzruszając ramionami. — Założyłbym się, że na dziesięć, a nawet na dwadzieścia mil wokoło nie znalazłbyś nic, coby można użyć na opał. O ile mi wiadomo, drzewo napływowe na Południowym Oceanie trafia się nadzwyczaj rzadko.

— Ja nie mówiłem, o drzewie — odburknął urażony sternik.

— Więc cóż będziesz palił, u licha?

Stary marynarz, zamiast odpowiedzieć, mrugnął chytrze prawem okiem, uśmiechając się tajemniczo.

— To moja rzecz, — odparł; — podejmuję się za tydzień dostarczyć ze czterysta kilo doskonałego paliwa, takiego, jakiego używają eskimosi.

— Ciekawym bardzo, czego ci będzie potrzeba?

— Jednego kotła tylko, proszę pana.

— Ba! a skąd go wziąć? rezerwoary od benzyny pozostały gdzieś w śniegach na „Ziemi Śmierci”, a w łódce nie mamy żadnego naczynia, któregoby można użyć zamiast kotła.

— No, a ta kula? — zagadnął sternik, wskazując na machinę aluminiową.

— To prawda, składa się ona z dwóch hermetycznie spojonych połów: nie wątpię, że mi się uda rozłączyć je i o-

trzymać w ten sposób dwa płaskie kotły. Na kiedy podejmiesz się dostarczyć opału?

— Za tydzień.

— Zuchem cię nazwę, jeżeli dotrzymasz słowa.

— Nie mówię nigdy na wiatr, proszę pana.

Stary marynarz zabrał się niebawem do wykonania swych tajemniczych zamiarów.

Inżynier, zaciekawiony niezmiernie, śledził czynności towarzysza. Zresztą trudno było uwierzyć, ażeby w tej pustynie, pozbawionej zupełnie roślinności, ktoś mógł znaleźć jakiegokolwiek palne ciało. Z początku Gromski przypuszczał, że sternik natrafił gdzieś na ślady pokładów węgla, minerał ten bowiem spotykano nieraz w okolicach północnego bieguna.

Dzems jednak, widocznie, nie myślał o naturalnych źródłach paliwa: wyciągnął on z dna łódki dwa długie bambusy i, osadzwszy na końcach każdego z nich po ostrym nożu, sporządził duże i mocne lance.

— Czy mi pan pomoże? — zagadnął, zbliżając się do Gromskiego z tą oryginalną bronią.

— Do czego? Czy mamy wyruszyć na wojnę przeciw mieszkańcom tego lądu?

— Zgadł pan odrazu; zdobędziemy na nich tyle opału, ile tylko nam trzeba, niech pan zabierze rewolwer, lub lepiej odda go memu kapitanowi; taka broń przyda się także, w braku innej.

— Kiedyż zaczniemy tę wojnę?

— Zaraz — nieprzyjaciel niedaleko stąd czeka już na nas; chodźmy!

Rzekłszy to, marynarz ruszył przodem, prosto ku morzu. Po półgodzinnej drodze nasi podróżni zeszli ze skał i wkroczyli na lód lądowy, otaczający brzegi. Właśnie inżynier chciał zapytać, gdzie się znajduje ów zapowiadziany nieprzyjaciel, kiedy James zatrzymał się nagle i wskazał palcem na kilkanaście czarnych plam, odbijających na lśnjącem tle lodowców.

— To nasz opał, proszę pana, — rzekł.

Gromski, przyjrzawszy się owym ciemnym punktom, ku niemałemu swemu zdziwieniu poznał w nich jakieś żyjące istoty.

— To foki! — zawołał Ford śmiejąc się.

— Przepraszam, kapitanie — słonie morskie; są one daleko tłuszczejsze od fok, i większe.

— Aha! rozumiem; — rzekł Gromski — chcesz użyć na opał tłuszczu tych zwierząt. Przyznaję, że nigdy by mi do głowy nie przyszedł taki pomysł.

— A ja bym nigdy nie wpadł na to, że zwyczajna para może nas wyswobodzić z tej pustyni.

— Czy jednak tłuszcz ten pali się?

— Wytopimy tran, proszę pana; a z niego podejmuję się urządzić doskonały ogień przy pomocy trochę mchu. — Mówiąc to, sternik szybkim krokiem zbliżał się do zwierząt, nie starając się nawet ukrywać przed ich wzrokiem,

— One jeszcze nie miały do czynienia z pałąką i nożem wielorybników — rzekł — dopiero teraz dowiedzą się, że człowiek jest ich najniebezpieczniejszym wrogiem.

Jakoż, w samej rzeczy, olbrzymie foki spokojnie i bez śladu trwogi przypatrywały się naszym żeglarzom, leżąc wygodnie na brzegu szerokiej szczeliny i igrając wesoło pomiędzy sobą. Stare samce wydawały od czasu do czasu głośny ryk, podnosząc głowę, zaopatrzoną w krótką trąbę; samice, otoczone młodem, oddawały się gorliwie swym macierzyńskim obowiązkom.

— No do dzieła — tylko prędko i zgrabnie! — zawołał sternik, podnosząc swą pałąkę; — uderzać przedewszystkiem w nos, bo to najczulsze miejsce tych poczwara.

Rzekłszy to, potężnym ciosem powalił odrazu młodego samca, który ciekawie przypatrywał mu się swemi czarnemi, okrągłemi, pełnemi wyrazu oczyma. Kapitan ugodził ze swej strony tłuszcinką samicę, zajętą właśnie karmieniem swego potomstwa. Gromski tylko nie mógł się zdecydować; zabija-

\*) Kaloryą nazywa się ilość ciepła, potrzebna do ogrzania litra (kwarty) wody na jeden stopień Celsjusza.



nie tych niewinnych stworzeń, bezbronnych i nieświadomych niebezpieczeństwa, wydawało mu się zbrodnią.

Za to Dżems szerzył śmierć dokoła siebie; z niesłychaną wprawą i zaciętością rozdzielał uderzenia i pchnięcia na prawo i na lewo. Była to prawdziwa rzeź niewinnych.

Niebawem jednak, przestraszone tym energicznym napadem zwierzęta pierzchyły śpiesznie; na lodzie pozostało tylko pięć trupów.

— No, z tego dobędziemy co najmniej 300 litrów tranu — rzekł sternik, dotykając ręką pulchnych ciał swych ofiar; szkoda tylko, że bestye uciekły, bo moglibyśmy od razu zaopatrzyć się w opał.

— Niedaleko stąd widzę inne stado — rzekł Gromski, wskazując na lodowiec, opuszczający się łagodnie w wodę.

Spojrzawszy w tym kierunku, Dżems w istocie dostrzegł kilkanaście wielkich zwierząt, wygrzewających się na słońcu; nie tracąc więc ani chwili, pobiegł ku lodowcowi. Kapitan, oddawszy swój rewolwer Gromskiemu, pośpieszył za towarzyszem.

— To morsy, z niemi będzie trudniejsza sprawa — rzekł sternik, przystając o kilkadziesiąt kroków od stada. — Ciekawym, czy i one takie naiwne; spróbujemy, kapitanie, nie-prawdaż?

I dzielny marynarz, nie bacząc na olbrzymie kły i groźne miny potworów, szedł śmiało naprzód.

Uwagę jego zwrócił tłusty samiec, śpiący spokojnie na złomie lodowca; podkraść się więc cicho i, zamierzwszy się, uderzył swą maczugą pomiędzy oczy, niespodziewającego się napadu zwierza.

(d. c. n.)

## DO DZIECIĘCIA.

Matka w koronie, czy to w sukmanie,  
W sercu ma tylko jedno kochanie:  
Myśli o tobie, nie żyje sobą,  
Tyś dla niej szczęściem, życia ozdobą.  
A gdy ci przyjdzie pracować w trudzie  
Przez trud, gdy poznasz, co świat i ludzie,  
Gdy znój ci zerwie nić marzeń złotą,  
Doznasz dopiero, co być sierotą...  
Nieraz łza żalu cicha a szczerą  
Budzi wspomnienia, blizny otwiera...  
Więc proś dziecino serdecznie Boga,  
By długo żyła mateczka droga  
I całą duszą do sił ostatka  
Kochaj — bo jedną na ziemi — matka!

Skowronek.

## MAŁY KRÓLEWICZ,

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WĘGIERSKICH.

przez Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

Mieszkańcy zamku z niepokojem wielkim oczekiwali jego powrotu; wiedzieli, iż toczy się walka stanowcza, że jeśli Ferdynand złamie potęgę muzułmanów, to Buda podda mu się, bo nie będzie miała odwagi walczyć dłużej. Mijały dnie za dniami, tylko echa strzałów dochodziły, walka nie ustawała, dobiegały różne wieści, to pomyślne, które w sercach nadzieję budziły, to smutne, a wtedy gasła nadzieja. Pewnego wieczoru, gdy Izabella z synkiem tylko siedziała sama w swym pokoju, który bawił się u jej nóg, wszedł do niej Martunizi.

— Zwyciężyliśmy królowo, Austriacy pobici — rzekł głosem ponurym.

Spojrzała nań zdziwiona, zwycięstwo nie świeciło z oczów jego, smutek osiadł na czole biskupa.

— Moznaby sądzić, że Austriacy zdobyli Budę — rzekła — tak grobowym głosem donosisz mi, Jerzy Ujtsemowiczu, o ich porażce.

— Setki trupów zaściela ulice Pesztu — odparł Martunizi — drogo kosztuje nas zwycięstwo.

Izabella mimowolnym ruchem schwyła siedzącego u nóg jej syna i przytuliła go do piersi, jakby bronić chciała przed wrogiem.

— Kto to sprawił? — spytała.

— Turcy, Soliman chciał swoim nagrodzić zwycięstwo i Peszt wydał w ich ręce.

Królowa więcej nie pytała, ogarniała ramieniem syna, i przestraszonym wzrokiem patrzyła przed siebie. Biskup, siadłszy obok niej, tonu nie zmieniając, tak ciągnął dalej:

— Zapewne jutro wkroczy Soliman w tryumfie do Budy; mimo odrazy, jaką czujesz do niego królowo, musisz go przyjąć gościnnie, syn twój zawdzięcza mu koronę...

— Ciężki to obowiązek — odparła Izabella...

Mieszkańcy Budy wyczekiwali niecierpliwie ukazania się muzułmanów, bali się ich, lecz ciekawi byli; bali się, by naraz z przyjaciół, we wrogów się nie zmienili. Wieść o rzezi Pesztu już rozbiegła się po ulicach miasta i grozą wszystkie serca przejęła, ale tem ciekawsi byli tych krwawych zwycięzców. Martunizi i Bartnay upewniali ich, że Turcy Budę uszanują, bo w niej jest królowa z synem, za którego walczyli.

Próżno czekali wszakże zwycięzców cały ranek, nie pojawili się, południe już było gdy Izabelli oznajmił jeden z panów, że od sułtana przybyło do niej poselstwo. Zamiast więc sam wkroczyć na czele konnych swych hufców, Soliman przysłał do Budy swoich przedstawicieli, których Izabella kazała poprowadzić na salę przyjęć i z dworem swoim tam po-dążyła.

Niebawem posłowie stanęli przed nią, trzech ich było, wszyscy w jedwabiach i złocie wspaniale przybrani, skłonili się przed nią do ziemi, potem jeden, złożwszy ręce na pier-siach, tak mówić począł:

— Pan mój, Soliman, sułtan turecki najpotężniejszy z monarchów świata, przysłał mię tutaj, aby ci rzec, piękna, dobra i rozumna królowo Węgrów, iż za to, co uczynił dla syna twego innej nagrody nie żąda, tylko byś dziecię to po-zwoliła mu uściśnąć.

— A kiedyż wielki Soliman zechce do nas przybyć? — odparła Izabella — mieszkańcy Budy byli przekonani, że dziś go ujrzą w swych murach i dziś wdzięczność swą mu objawia.

— Wielki Soliman, najpotężniejszy z monarchów świata, spodziewa się, że Izabella królowa Węgier powie synowi swemu: „jedź do swego zbawcy i złoż mu pokłon, za to co uczynił dla ciebie” — odparł poseł.

— Syn mój ma jechać sam do namiotu sułtana — szepnęła królowa błędąc i wzrok, w którym malował się śmiertelny niepokój, podniosła na biskupa, który stał opodal chinurzy.

— Wola sułtana spełnioną będzie: Zygmunt Zapolya nim słońce zajdzie, będzie w jego namiocie — odparł Martunizi, wyręczając królowę.

W oczach Izabelli pociemniało, zachwiała się, oparła drżącą ręką o poręcz krzesła, by nie upaść. Tymczasem posłowie zadowoleni z odpowiedzi wyszli z sali, kroki ich ścisły, królowa trząsnęła się z chwilowej słabości i zwróciła wzrok pelen wymówki na biskupa.

— Czego wy żądacie odemnie? — rzekła — dziecię moje mam ślać do Solimana, splamionego świeżą krwią mieszkań-ców Pesztu; skarb mój jedyny powierzać wrogom Boga mego? Nie, tego nie uczynię.

— Uczynisz królowo, bo musisz uczynić — odparł sta-nowczo biskup — obrażać sułtana niewolno ci, bo mógłby swą zemstę wyrzucić na mieszkańców Budy.

— A zatem sama go powiozę — rzekła Izabella.



— Królowa Węgier sama czołobitności przed sultanem składać nie może, to ubliżyłoby koronie, jaką nosi — odparł Martunizi.

Ciche westchnienie wyrwało się z piersi Izabelli.

— O jakże żelazną jest ta korona — szepnęła i głowę zwiesiła na piersi.

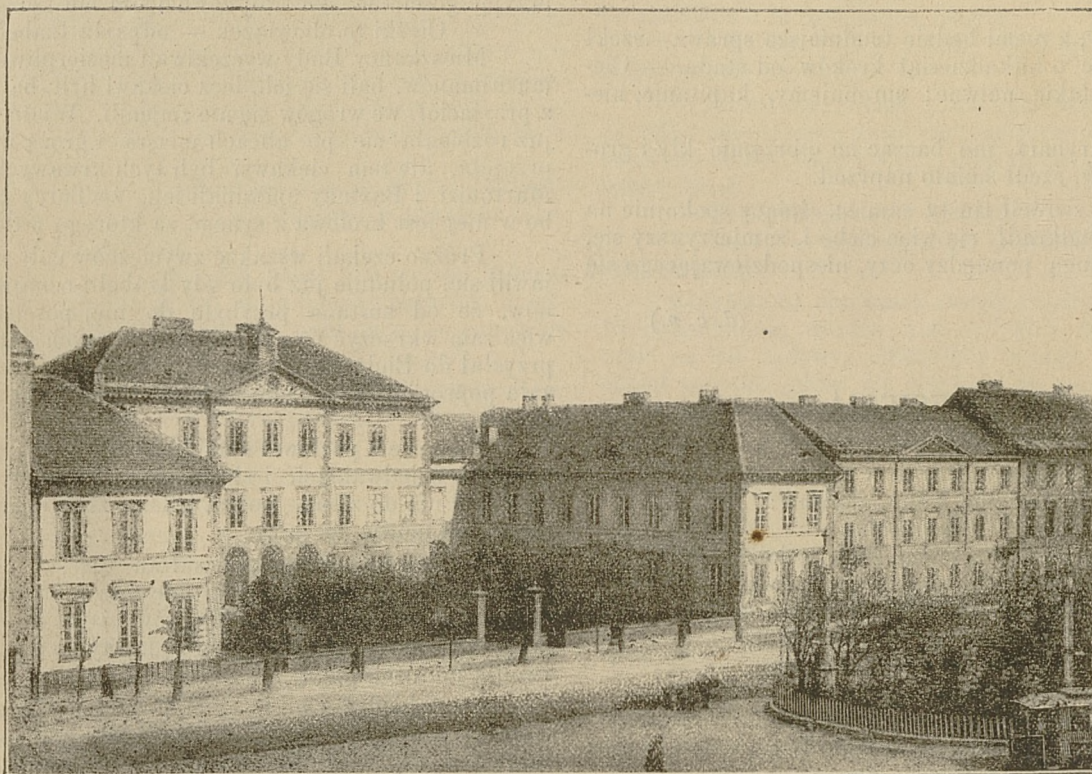
Wśród dam dworu, które ją otaczały, znajdowała się Hala; oczy dziewczęcia łzami zasły, gdy usłyszała odpowiedź, zbliżyła się nieśmiało do królowej, klękała u jej nóg.

— Pani — rzekła tonem prośby — powierz mi syna, będę mu piastunką i pojedę z nim do namiotu sultana.

Izabella położyła dłoń swą na ramieniu dziewczęcia.

cznością; pośpieszyły przygotować się do drogi. Niebawem wróciły, jedna za piastunkę przebrana, druga odziana w strojne szaty; zajęła królewska kolasa, wsiadły obie z królewiczem, którego matka sama kosztownie ustroiła; kilku panów węgierskich towarzyszyło im konno, i szczupły ten orszak ruszył z wolna ku obozowi tureckiemu; królowa, stojąc w oknie krzyż za odjeżdżającymi zakresliła w powietrzu, a biskup modlitwę do nieba posłał za szczęśliwy powrót tej drużyny.

Hala wsiadła do powozu odważnie, niemal wesoło; ciekawość ujżenia obozu tureckiego na chwilę stłumiła w jej sercu wszystkie inne uczucia, lecz za ledwie powóz wytoczył się na dziedziniec zamkowy, dzieciunny uśmiech znikł z jej jasnej



INSTYTUT GŁUCHONIEMYCH W WARSZAWIE.

— Masz tyle odwagi? — spytała tonem niedowierzania.  
— A jeśli was pochwycą i nie oddadzą?

— To w każdym razie lepiej będzie, że ja pojedę, bo wtedy syn twój, królowo będzie mnie miał przy sobie; on mnie lubi, ty zaś mi ufasz pani — odparła Hala.

Królowa patrzyła na nią wzruszona, nie dając odpowiedzi.

— Pozwól pani jechać jej i mnie także — odezwiała się Anna Kolar, przystępując do królowej — Hala posiada serce królewicza, on z nią bez obawy pojedzie; jam doświadczona i odważna, będę im obojgu opieką.

Oczy królowej zasły łzami.

— O dzięki wam — rzekła — na każdym kroku dajecie mi dowody przyjaźni; kiedyż będę mogła odpłacić się wam? Jedźcie i wracajcie szczęśliwie. — To mówiąc wyciągnęła ręce do klęczących u nóg jej, Hala i Anna ucałowawszy je z wdzię-

twarzą, a natomiast wystąpił wyraz przerażenia: straszny bo obraz przedstawił się jej oczom, obraz zwykłych następstw wojny: pełno trupów zaściełało drogę, którą przebywali; ten miał czaszkę rozbitą, tamten nogi urwane, inny kopytami koni był stratosowany. Hala wsunęła się w głąb powozu, by nie patrzeć na okropną tragedię, którą odegrali tutaj Turcy, Niemcy i Węgrzy; dziecię przytuliła do siebie, by nie widziało jak okrutni są ludzie, lecz mimowoli coś ją od czasu do czasu pchało naprzód, dziecku oczy ręką zasłaniała, a sama wychylała się z pojazdu, chwytając rękę Anny i szeptała:

— Jakież to okropne!

I znowu w głąb się cofała. Anna siedziała nieruchoma, ona ani na chwilę nie odrywała spojrzenia od krwawego obrazu, a w miarę jak powóz posuwał się dalej, obraz spustoszenia i śmierci coraz straszniejszym się stawał. Zdała płynął Dunaj, wody jego rumieniły się krwią wyrzniętych mieszkańców



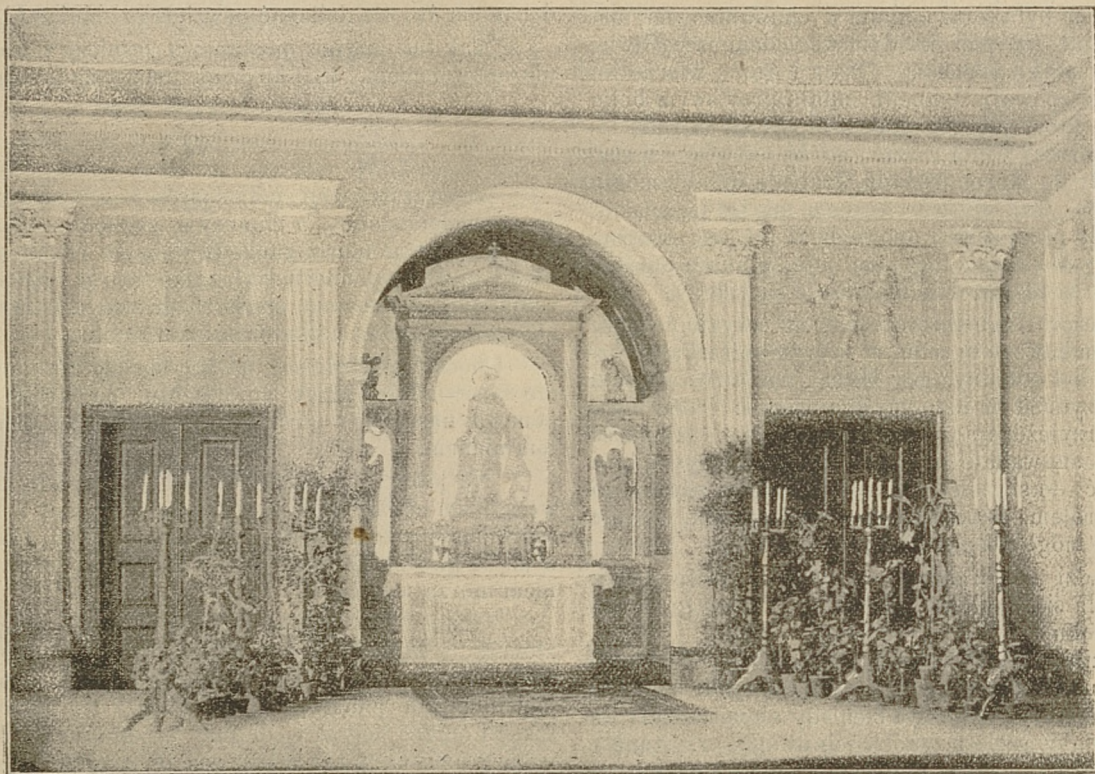
Pesztu, a słońce jasno i wesoło przyświecało, jakby na urągowski, żalobie całego narodu. Nareszcie powóz zatrzymał się przed obozem tureckim; straż, wysłana naprzeciw syna Jana Zapolyi, czekała przed namiotami; panowie węgierscy zeskończywszy z koni, pomogli Hali i Annie wysiąść z kolasy, i wszyscy razem podążyli do namiotu Solimana. Hala i Anna szły razem, Hala niosła królewicza, który wystraszony obcemi postaciami, jakie snuły się koło niego, przypatrując im się ciekawie, uczeplił się drobnymi rączkami jej ramienia i czarne, wielkie swe oczy, pełne wyrazu przerażenia wodził w około.

Soliman otoczony synami i całym swym dworem, siedział dumny i wspaniały na wielkim dywanie, na ziemi w jego na-

Następnie kazał przynieść słodczy, nakarmił niemi królewicza, poczęstował Halę, oraz zdala stojącą Annę, nakoniec oddał im dziecko i kazał podziękować królowej, że spełniła jego życzenie.

Tymczasem Izabella w śmiertelnym niepokoju oczekiwała powrotu syna: blada, milcząca nie odchodziła od okna, a Martunizi nie odstępował jej; jakaż była jej radość, gdy ujrzała nakoniec powóz, jadący zwolna do zamku, a w nim wszystkich cało powracających.

— Jada! — krzyknęła wzruszona, poczem pośpieszyła naprzeciw; gdy Hala zbliżyła się do niej, wyrwała z rąk jej dziecko i pocałunkami okrywając je szeptała:



KAPLICA W INSTYTUCIE GŁUCHONIEMYCH.

miocie rozpostartym; ujrawszy wchodzących skinął im głową, potem ręce wyciągnął, by mu podano królewicza. Jeden z panów chciał wziąć dziecko z objąć Hali i ponieść je do sultana, lecz chłopiec stanowczy opór stawiał: uczeplił się tak silnie ramienia mniemanej swej piastunki, iż nie było sposobu oderwać go od niej.

— Sama go zaniosę — szepnęła Hala, i zbliżywszy się śmiało do Solimana posadziła mu na kolanach Zygmunta. Świecący od złota i klejnotów kaftan sultana tak go zajął, że bez obawy i ciekawie przypatrywał się kosztownym i błyszczącym kamieniom; a stojąca obok Hala ośmielona uspokajała dziecko.

Soliman poglądnął ciemną główkę chłopca, poczem zwrócił spojrzenie na synów tuż przy nim stojących.

— Dzieci moje, kochajcie Jana Zygmunta, jak brata rodzzonego — rzekł.

— Synku mój, com ja trwogi przeżyła przez ciebie!

Mały Zygmunt nie dzieląc niepokojów matki, opowiadał co widział u Solimana.

Zwycięstwo Turków, odniesione pod Budą, nie wróciło pokoju Węgrom; arcyksiążę Ferdynand, zebrawszy świeże siły, znowu wkroczył na ich ziemię; Węgrzy podzielili się na dwa stronnictwa: jedni znużeni wojną, przeszli na stronę Ferdynanda, drudzy służyli dalej wiernie Izabelli. Obrażony Soliman za zdradę tamtych, gdy zdobył jaką twierdzę, lub miasto, to je w perzynę obracał, a mieszkańców kazał wycinać; nie inaczej postępowali także Niemcy, i Pięciokościół, Strygonija, Alba królewska, oraz wiele innych miast zniszczone zostały wówczas, pół kraju zajęli Turcy, a obchodzili się z mieszkańcami nie jak zbawcy, lecz jak wrogowie.

Izabella zmęczona życiem, jakie wiodła, codzień więcej o syna niespokojna, by w ręce Niemców lub Turków nie po-



padł, wymogła na konie, iż pozwolił jej usunąć się z synem do Siedmiogrodu, prowincyi Węgier, którą jeszcze wojna nie dosięgła. Nie opierał się temu biskup, gdyż i jego ogarniał niepokój o królewicza, a rozumiejąc dobrze, iż w Siedmiogrodzie bezpiecznym będzie, sam ułatwił królowej wyjazd i obiecał uwiadamić ją o losach kraju.

— Ufaj mi królowo — rzekł do niej przy rozstaniu — Jerzy Martunizi nie zdradzi nigdy sprawy syna Jana Zapolyi, uczyni wszystko, co będzie w jego mocy, by go do Budy w tryumfie wprowadzić i koronę króla Stefana włożyć na jego czoło.

— Ufam i wierzę, że Jerzy Martunizi jest syna mego przyjaciela — odparła Izabella — za wiele od ludzi doznalam przyjaźni, by niewiara mogła się wkraść do mego serca; a choć część mnie zdradziła, nie myślę o nich, bo większość wierną mi pozostała.

### III.

W ciszy i możliwym spokoju upływały Izabelli dni w Siedmiogrodzie: cała ona była teraz oddana wychowaniu syna; mały królewicz rozwijał się pod każdym względem szczęśliwie, prawdziwą był dla matki pociechą. Hala i Anna, wierne jej przyjaciółki nie odstępowały Izabelli, miała przy swym boku i hrabiego Temse, który jako opiekun królewicza, za radą biskupa przeniósł się tutaj z nim razem; gdyby nie wieści o wojnie, które dobiegały do Hermansztadu, Izabella byłaby mogła oddychać swobodnie, lecz wieści te często mąciły jej spokój. Ileż ktoś z Budy przyjechał i opowiedział jej, jak straszna nędza gnębi kraj, jak krwawe toczą się boje, płakała gorzko, że przez nią tyle krwi płynie, tyle nieszczęść się szerzy.

Pewnego wieczora Izabella wcześniej niż zwykle usunęła się z cieniściego zamkowego ogrodu, w którym mieszkała obecnie, gdyż wieczór był chłodny, gdy Hala i Anna zostały tam jeszcze; rano przyniósł im niepomyślne wieści: jeden z panów węgierskich przyjeżdżający z Budy, przyniósł wiadomość jakoby Martunizi się wahał, czy nie ustąpić Ferdynandowi i nie przyprowadzić do skutku dawnego traktatu, zawartego między nim, a królem Janem. Anna utrzymywała, że nie wierzy, aby biskup mógł coś podobnego uczynić.

— Nie zdradzi on królowej — mówiła głośno, lecz w głębi serca lękała się, czy okoliczności nie zmuszą go do jakiego smutnego kroku.

Hala twierdziła, że ufa w pomoc Bożą, a wśród tak ożywionej rozmowy nie spostrzegły, że mrok zapadł zupełny w ogrodzie; wtedy podniosły się i cieniście aleją wracały do zamku, gdy wtem jakiś szelest zwrócił ich uwagę, przystały i obejrzały się trwożnie. Hala miała zapytanie na ustach:

— Co to?

Lecz nie zdążyła tego wyrzec, gdy z pomiędzy krzewów wysunął się człowiek płaszczem otulony i zaszedł im drogę. Mimowolny okrzyk wyrwał się z ust obydwóch, cofnęły się kilka kroków wstecz.

(d. c. n.)

## Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

Niko Deck stanął wreszcie na wysokiej górskiej płaszczynie ciągnąc za sobą bezwładnego prawie doktora. Biedak tak z siłą opadł, że nie był w stanie utrzymać się na nogach i postawiwszy krok ostatni, padł na ziemię jak martwy. Niko Deck nie czuł się wcale zmęczonym wspinaniem się na stromą pochyłość góry. Nieruchomy, zachwytem zdjęty, pozerzał ciekawem okiem tajemniczy ów zamek karpacki, w pobliżu którego nie znajdował się nigdy jeszcze.

Przed oczyma jego ciągnął się rozległy mur obwodowy; dostępu do niego broniła głęboka fosa a jedyny most zwodzony jaki się tu znajdował, podniesiony przed laty jeszcze, stał

oparty o murywane słupy furtki wiodącej w podwórze zamkowe.

Na powierzchni płaskowzgórza Orgall'u, u podnóża potężnych murów cisza zaległa i opuszczenie.

Przy niknącem już świetle dziennem można było objąć okiem całość gmachów zamkowych, niewyraźnie zarysowujących się w mroku. Nikogo widać nie było na parapecie murów, nikogo na platformie baszty, nikogo na tarasie okrażającym całe pierwsze piętro. Wokoło chorągiewki rdzą wiekową strawionej nie wila się najbliższa nawet chimurka dymu; pustka panowała tu zupełna.

— A co, Niko — spytał doktor — przekonałeś się, że niepodobna przebyć fosy, spuścić most zwodzony i otworzyć tę furtkę?

Niko nie odpowiedział ani słowa. Sam uznawał, że trzeba będzie zanocować u podnóża murów zamkowych, jakże bowiem wśród tej ciemności potrafi spuścić się na dno fosy i wdrapać się na szkarpy, ażeby się na podwórce przedostać? Należało czekać cierpliwie pierwszego brzasku zorzy i przydziennem świetle dokonać powziętego zamiaru.

Tak też uczynić postanowił leśniczy z wielkiem swoim niezadowoleniem, lecz ku zupełnemu zadowoleniu doktora.

### VI

Srebrzysty sierp półksiężyca znikł natychmiast prawie po zachodzie słońca, a chmury z zachodu nadciągające przysłoniły ostatnie blaski zachodu i okryły ziemię pomroką, która zrazu u gór podnóża zalegając, coraz wyżej wznosiła się tumanem, aż wreszcie spowiła gór wierzchołki i nieprzejrzyście opoń zawiśła nad murami zamczyska.

Chociaż zanosilo się na noc bardzo ciemną, nie wszakże nie zapowiadało burzy ani deszczu, co bardzo było pożądanem dla naszych wędrowców, których czekał nocleg pod gołym niebem.

Na jałowej wyżynie Orgall'u nie rośło ani jedno drzewo, gdziekolwiek tylko karłowate krzewiny służyć mogły za schronienie przed nocnym chłodem, tembardziej przejmującym, że płaskowzgórze znajdowało się na znacznej nad poziomem morza wysokości.

Grunt cały usiany był ogromnemi bryłami skalnych złomów, z których jedne własnym ciężarem głęboko zaryły się w ziemię, inne chwiały się na swej podstawie tak, że łada popchnięciem palca strącone, mogły się potoczyć pomiędzy sosny i oprzeć się aż w dolinie u podnóża gór leżącej. Z pomiędzy nich wyrastał właściwy tej okolicy Siedmiogrodu gatunek ostu, o grubych, gęstym rzędem sterzących kołcach; mówiono, że ziarenka jego przyniesione tu zostały w grzywach koni obcych wojsk, które niegdyś gościły w Siedmiogrodzie.

Główną troską podróżnych było wynalezienie najmniej niedogodnego miejsca, w którym mogliby doczekać dnia, jako tako osłonięci przed dojmującym chłodem nocy.

— Mamy w czem wybierać — mruknął doktor — może nam być źle, bardzo źle i jeszcze gorzej.

— Jeszcze pan narzekasz? — odparł Niko.

— Ma się rozumieć, że narzekam! Miejsce w sam raz stosowne do nabawienia się porządnego kataru lub reumatyzmu, z którego może nawet wyleczyć się nie potrafię!

Smutna tylko ostateczność mogła wyrwać tak szczere wyznanie z ust doktora nie rad bowiem wspominał o przeszłości, gdy prostym był tylko dozorcą chorych w kwarantannie, skąd wykierowawszy się na felczera, przybrał tytuł chirurga a potem doktorem zwać się zaczął.

Z pomiędzy olbrzymich głazów rozrzuconych na płaszczynie płaskowzgórza, należało wybrać taki, którego położenie dawałoby rękojmię, że stanowić może ścianę, skutecznie osłaniającą od ostrego wiatru południowo-zachodniego, który dmuchał już właśnie zaczynał. Kamień taki znalazł Niko niebawem: była to skala nietyle wysoka, ile szeroka, o płasko ściętej powierzchni: rodzaj ławicy kamienne-



jakich wiele spotyka się przy drogach w prowincjach wołoskich i w ogóle na całym podgórzu karpackim. Bujnie koło nich wyrastające kwiaty, czynią je miłym miejscem spoczynku dla podróżnego, który nie tylko może na nich usiąść, lecz nawet i ugasić pragnienie wodą znajdującą się w umyślnie tam postawionem naczyniu, a codziennie przez mieszkańców okolicznych zmienioną. Gdy w zamku przemieszkiwał jeszcze baron Rudolf na Gorcu i na tym także gładzie stał kamienny dzban, o którego napełnieniu zawsze pamiętali słudzy zamkowi. Dzisiaj jednak kamień pokryty był śnieciem przez wiatr tu naniesionem, porośnięty mchem zielonawym i zamiatany, dźwiękał tylko na sobie słup kamienny, szczątek dawniej tu stojącego krzyża, którego odrzucone ramiona zostawiły na górnej części słupa poprzeczne wyżłobienie. Doktor Patak nie należał do bardzo pobożnych, nie wierzył w to aby krzyż mógł mu służyć za tarczę obronną przeciwko nadprzyrodzonym zjawiskom, z właściwą jednak niedowiarcom niekonsekwencyą pojęć, niewątpił wcale o istnieniu złego ducha. Gotów był nawet wierzyć, że czart w pobliżu gdzieś się znajduje, że w starym zamczysku przebywa, jeżeli zaś jest tam w samej rzeczy, to ani zaryglowana fórtka, ani zdjęty most zwodzony, ani mur obwodowy prostopadłe nad głęboką fosą sterczący, nie przeszkodzą mu wyniszczyć, gdy napadnie go ochota przyjść, skrócić kark obu podróżnym.

Na myśl więc, że w podobnych warunkach całą noc przepędzić mu przyjdzie, drżał ze strachu. Nie! stanowczo, tego już zawiele, najodważniejszy człowiek próby takiej nie zniesie!

Potem, do głowy mu przyszła po niewczasie myśl, że to właśnie był wtorek. Zapomniał o tem zupełnie wychodząc rano z domu; ale wtorek to był, dzień feralny, dzień w którym w całym komitacie nikt nie wychodził z domu po zachodzie słońca, żeby ustrzedz się czarów, urzeczeń i spotkania złoczyńnych duchów, wedle podania, krążących tego wieczora po drogach. Każdy siedział pod dachem, nikt nogą za próg domu nie stąpił, on tylko jeden nie tylko tułał się poza domem, o kilka mil od wsi, lecz jeszcze zmuszony był przepędzać noc pod murami zamku, w którym duchy gospodarują. Pod gołem niebem czekać świtu! jeżeli się go doczeka... Żadna perspektywa! Kto widział, żeby rozsądny człowiek dobrowolnie szukał nieszczęścia!

Tak rozmyślając, ujrzał doktor, że leśniczy pociągnął parę łyków z manierki, wyjmując z podróźnej torby kawał zimnego mięsa, pół bochenka chleba i spokojnie zabiera się do wieczery. Ha! cóż robić! naśladować go trzeba — i tak też doktor uczynił. Kieliszek śliwownicy, kawał gęsiny, spora kromka chleba znacznie pokrzepiły jego siły, ale jakkolwiek zaspokoili głód, nie ukoili jednak bojaźni.

— Spijmy teraz — rzekł Niko, kładąc sobie torbę zamiast poduszki u stóp kamiennej ławicy.

— Spać będziesz?

— Dobranoc, doktorze...

— Dobranoc... łatwo ci życzyć dobrej nocy... ale nie wiem czy ta noc skończy się dobrze...

Niko Deck, nie mając ochoty do rozmowy, nic już na to nie odpowiedział. Z konieczności swego zawodu do sypania w lesie przywykły, ułożył się jak mógł najwygodniej pod kamienną ławicą, i po niedługiej chwili zasnął głęboko. Biedny doktor nie mając nawet do kogo się odezwać, mruknął coś tylko przez zęby, usłyszawszy w ciemności regularny i spokojny oddech śpiącego.

On zaś nieborak, na kilka minut nawet do bezczynności skłonić nie mógł gorączkowo zaostzonych zmysłów wzroku i słuchu. Pomimo zmęczenia, nie przestawał wyteżać wzroku w ciemność, nie przestawał nasłuchiwać gorączkowo. Mózg jego stał się pastwą fantastycznych widzeń, które rodziły zwykłą bezsenność. Co spodziewał się ujrzeć lub usłyszeć w gestej, nieprzeniknionej ciemności nocy? Nic i wszystko: niewyraźne kształty otaczających go przedmiotów, strzępiaste chmury po niebie płynące, ogrom murów zamkowych ciemniejszą odcinając się czarnością na tle nocy. Chwilami zdawało mu się, że skaliste bryły na powierzchni płasko-

wzgórza rozsiane, puszczają się w jakiś tan piekielny. Co będzie, jeżeli na podstawach zachwiane, stoczą się po stromej pochyłości wzgórza i upadając, zmiążdżą obu śmialków, tuż pod murami owego zamczyska, do którego wzbronione mają wejście?

Uniósłszy się na łokciu nieszczęśliwy doktor przysłuchiwał się odgłosom, niewiadomo skąd pochodzącym, szmerom jakimś tajemniczym, środkującym pomiędzy jękiem, westchnieniem a szeptem. Słyszał jak ptactwo nocne na żer wylatające, skrzydłami uderza o skały, jak odywają się puszczyki, których żalosne kwilenie smutkiem i grozą przejmujące, i mięśnie jego kurczyły się strachem nieopisanym, a całe ciało zimnym potem oblane, wstrząsało się dreszczem od stóp do głowy przebiegającym.

Tak nieskończenie długie upływały mu godziny do północy. Gdyby doktor Patak miał z kim rozmawiać, mógł od czasu do czasu zamienić z kim kilka wyrazów i użalić się do woli, niewątpliwie czułby się mniej wystraszonem. Lecz Niko Deck zamiast rozmawiać z towarzyszem, spał, i to spał głębokim, twardym snem.

Północ! najstraszniejsza ze wszystkich godzina! godzina duchów i upiórów, godzina czarownic i złych mocy!

Co to? co się dzieje?

Podniósł się doktor z legowiska, z niedowierzaniem sam siebie zapytując, czy śpi, czy może znajduje się pod wpływem dręczącej go zmyry nocnej.

Zdaje mu się bowiem, że widzi tam, w górze — i widzi, naprawdę widzi — dziwne, potwornych kształtów postaci, przelatujące z chmury na chmurę, z widnokregu na widnokreś... to wyżej są... to niżej... to ziemi dotykać się zdają. Potwory to jakieś nieznane, smoki o węzowych ogonach, szerokoskrzydłe hipogryfy, dziwnie powykosławiane olbrzymy, ogromne, straszliwe upiory spuszczaające się ku niemu, jakby go chciały porwać w szpony, lub w paszczekach swoich pochłonać.

Potem zdawać mu się zaczęło, że w ruchu jest całe płaskowzgórze oraz wszystkie skały i drzewa, których wierchołki dotychczas nieruchome, gwałtownie się teraz kołyszą. A w tem wyraźnie, powoli, w niewielkich od siebie odstępach, słyszeć się daje bicie dzwonu...

— Dzwon — szepce doktor do siebie — dzwon zamkowy!

Tak! niema wątpliwości, to dźwięk zamkowego dzwonu. O milę stąd wprawdzie jest kościół, lecz gdyby tam w dzwon uderzono, wiatr niósłby dźwięki w zupełnie przeciwną stronę.

Coraz częstsze, coraz silniejsze uderzenia... Ręka, która raz dzwon w ruch wprawia, nie w żałobne uderza podzwonne. Nie! to na gwałt ktoś dzwoni, na trwogę... zdyszane tętno dzwonu po całej płynie okolicy, aż echem nad granicą siedmiogrodzką odbrzmiewa.

Słyszysz doktor dzwonienie to złowróżbne i strach go ogarnia konwulsyjny, trwoga tak nieprzewyciężona, że zdretniała ruszyć się z miejsca nie może.

Ale i leśniczego zbudziło już ze snu coraz głośniejsze wołanie dzwonu. Podniósł głowę, słucha, zrywa się z twardego posłania, podczas gdy doktor skurczony i drżący, w klębek się zwiija nieruchomy. Nastawia Niko ucha, oczyma stara się przeniknąć głębokie ciemności wiszące nad murami zamczyska...

Dzwonią! dzwonią — jak nieprzytomny powtarza doktor — dzwonią! To czart dzwoni! — Widocznie, ze strachu rozum straciwszy, biedny doktor więcej niż kiedykolwiek wierzy w figle czartowskie.

Leśniczy, nieruchomy, nie odpowiada mu ani słowa.

Nagle ryk, podobny do tego, jaki u wejścia do portów, wydają syreny morskie, wstrząsającą falą napełnia powietrze, w drgającym ruchu warstwy jego wprawia, brzmieniem swoim ogłusza...

Potem, ze środkowej baszty tryska snop olśniewającego światła, z którego wydzielają się błyskawice ogniste, piorunową jasnością strzelające! Jakież ognisko wydaje z siebie tę przepotężną światłość, której promienie kładną się długimi snopami blasków na górskiej płaszczyźnie Orgallu? Z ja-



kiegoż piecowiska płynie ten źródło ogniowy, od którego płomieniem zajmować się zdają skały, w sinawym jakimś odbłasku skąpane?

— Niko! Niko! — woła doktor — popatrz na mnie! Czy i ja także jak trup wyglądam?

W istocie twarz obydwóch przybrała barwę trupią; bladeść powleka ich policzki, przygasłe oczy w głąb zapadły, skóra na twarzy zmarszczkami się pokryła, włosy stały się podobnymi do tego mchu, który — jak twierdzi podanie — wyrasta na czaszkach wisielców...

Niko Deck zdumiony jest tem co widzi, zarówno jak i tem co słyszy. Doktor Patak dosięgnął już ostatniego kresu przerażenia, do którego człowiek dojść może: rozszerzone mą żrenice, włos mu się podniósł na głowie, w zdrętwiałych członkach stracił władzę. Strachem aż wieje od niego!

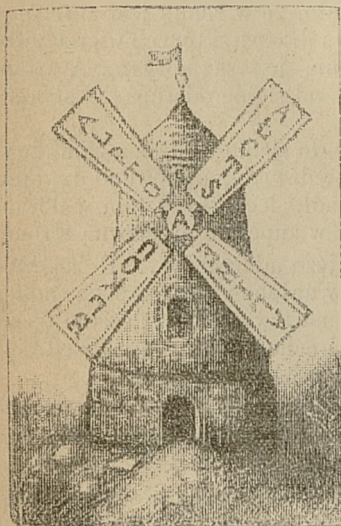
Minutę — najwyżej minutę! — trwa to straszliwe zjawisko. Potem dziwne światło słabnie stopniowo, ryki cichną a cisza i ciemność znowu zalegają płaskowzgórze. Ani jeden, ani drugi nie próbują już usnąć: doktor zwolna przychodzi do siebie, leśniczy stoi, oparty o kamienną ławę, obaj czekają nadejścia brzasku dziennego.

(d. c. n.)

## PYTANIE.

Od czego zależy szybkość ciał spadających na ziemię?

### ŁAMIGŁÓWKA w WIATRACZKU.



Z 20 liter będących na skrzydłach wiatraczka i dwudziestej pierwszej znajdującej się pośrodku, ułożyć cztery wyrazy, składające się z 6 liter ze wspólną końcową literą. Znaczenie wyrazów:

1. Krzew zaliczony do wiciokrzewów.
2. Drzewo z rodziny wierzbowatych.
3. Roślina z rodziny liliowatych.
4. Roślina z rodziny złożonych.

## SZARADA.

W salonie ruch wielki. Wśród światła powodzi  
W takt głośniejszej muzyki prowadzą się młodzi,  
I suną się pary jedne za drugimi  
Mienią się sukienki barwami różnemi.  
Toż całe me *pierwsze*. Iecz *drugie* mam jeszcze  
A w niem już znaczenie całkiem inne mieszczę.  
Mają mię pałace i mizerne chatki,  
Pod opiekę mą dążą, jak pod skrzydła matki  
Tak bogaci jak biedni. Choć tu jestem małym  
Bywam wielkości różnej, a nawet wspaniałym.  
Moje *wszystko* bogate państwo Flory mieści;  
I pewnie nie raz o mnie doszły już was wieści,  
Szczególnym moim składem nadałem już miano,  
Rodzinie całej — gdyż mię łatwo poznawano;  
To też pewny jestem, że skoro zechcecie  
Na grządkach w ogrodzie prędko mię znajdziecie.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

*Homonimu:*

Podróżnik. (Brodawnik. Lwi ząb. Leontodon).

*Łamigłówniki w trójkącie:*

D	a	l	m	a	c	j	a
A	b	r	u	z	z	y	
L	u	k	s	o	r		
M	i	ę	t	a			
A	p	i	s				
C	i	s					
J	a						
A							

### Na kolonie letnie złożyli:

Pod...ka, Kotek z P. i Kropelka, rosy rs. 3. — Micia i Stasia rs. 2. — A.Szabun. rs. 1. — Kozak Sawa rs. 1. — Adzio M. rs. 1. — Halinka i Stasia L. 1 kop. 45. — Janinka i Kazio J. kop. 10 — Romcia, Marychna i Zosia S. kop. 55. — Jadzia M. rs. 1. — Jadzia K. rs. 1. Pocieszka rodziców k. 50. Witold i Jadzia K. k. 25.

### SKŁAD ZABAWEK I GIER NAUKOWYCH

przenoszę od lipca r. b. z ulicy Trębackiej na

### Nr. 3 KRÓLEWSKĄ Nr. 3.

gdzie sprzedawać będę o 20% taniej. Do chwili przeprowadzki **wyprzedaję niżej ceny kosztu** papier listowy, galanterię biurkową i wiele innych artykułów wysortowanych.

**A. J. WIŚNIAKOWSKI w Warszawie.**

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Siedmiedziestopięcioletnia rocznica (z drzeworytami). — Balonem do bieguna, p. Wł. Umińskiego. — Do dziecięcia, wiersz, p. Skowronka. — Mały królewicz, powieść z dziejów węgierskich p. Teresę Jadwigę. — Tajemniczy zamek. — Pytanie. — Łamigłówniki i rozwiązania. **Dodatek:** Lalka Kazi, wiersz (z drzew.) — Złote serduszek p. Wielisława. — Lekkomysłny Franuś, p. Henryka Wernica. — Gra w piłkę. — Łamigłówniki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** W krainie Gwibrów, Andrzejka Laurie przekład T. P.



# WIECZORY RODZINNE.



## LALKA KAZI.

dla Wańdzi Dz.

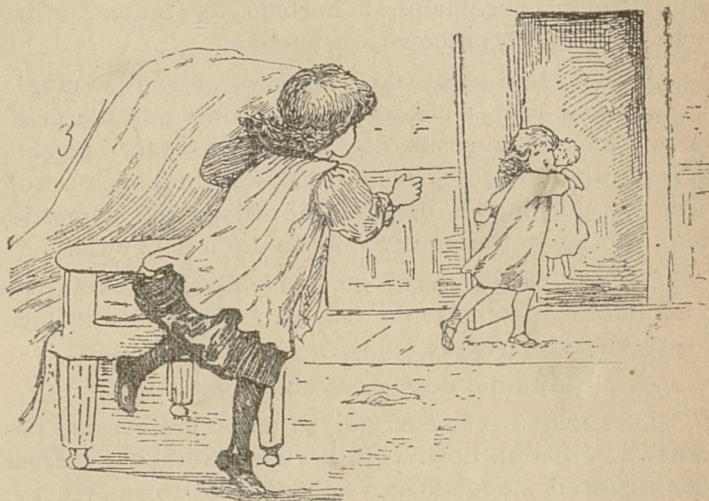
Nie wiem z jakiej przyczyny:  
Pono na imieniny,  
Kazia lalkę dostała.  
Radość była niemala:  
Lalka strojna jak dama,  
Mówi: „papa” i „mama”,  
A z pod złotych warkoczy  
Patrzą błękitne oczy.  
Lecz siostrzyczce Maryni  
Wielką przykrość to czyni.  
„Ach — myśli — czemu ona,  
Nie jam nią obdarzona?”  
Mania ma swe zalety  
Lecz zazdrosna, niestety,  
A zazdrość brzydka wada...  
Jak kot Mania się skrada...



Dopięła wreszcie celu:  
Kazi śpiącej w fotelu

Dodatek do N. 27, 1892 r.

Z objąć lalkę porywa,  
I ucieka, szczęśliwa,  
Że jej się tak udało  
Wykraść lalkę wspaniałą.



Lecz złe zawsze się wyda:  
Drzwi skrzypnęły... Oj! bieda!  
Budzi się właścicielka:  
Krzyk, płacz, gonitwa wielka,  
Pędzi Kazia za siostrą,  
Lecz nie napada ostro,  
Tylko łagodnie prosi.

(d. n.)

## ZŁOTE SERDUSZKO.

Księżniczka Hilda Ludgarda Izabella, córka szląskiego na Ujeździe księcia, dla dobrego serca przez lud okoliczny *Złote serce* przezwana, słynęła z dobrych czynów i miłosierdzia dla wszystkich nieszczęśliwych.

Strzeżona ściśle przez ochmistrzynię, nieraz bywała powstrzymywana w szlachetnych popędach tliwości na widok cierpień drugich.

— Gdyby nie ja — mówiła ochmistrzyni — to panna Iza, wszystkie głodne psy i koty, wszystkie powyrzucane z gniazd pisklęta sprowadziłaby do pałacu, dopieroż by był w pokojach porządek! Pysnie bym się zato od księżnej pani miała. Mimo to nie mogąc powstrzymać uczucia litości, co ją ośwładnęło, mała Iza zawsze potrafiła przymileniami swojemi wyprosić pozwolenie, to zaopiekowania się jakim pozbawionem ludzkiej pomocy stworzeniem, to oddania ubogim dzieciom jakiejs starej sukienki, lub części swoich zabawek.

Czasami aż służba musiała się usprawiedliwiać skąd tyle chleba u stołu wychodzi, a to z powodu, iż księżniczka Iza trzy razy nad potrzebę wynosiła go dla że-



braków, głodnych psów albo ptasząt. Strofowana o to przez ochmistrzynię, zawsze odpowiadała:

— Pani chyba nie uważała jak ojciec mówił przy stole, iż od tego Bóg go postanowił panem i księciem, aby biednym u niego, na chlebie powszednim nie zbywało.

Pewnego razu, bawiąc z matką w Pradze dostała na wiązanie chusteczkę od swojej ciotki, kanoniczki na Wyszehradzie.

Prześliczna to była chusteczka, obszyta koronkami przetykanymi perełkami, z herbem książęcym, mitrą i cyfrą po rogach pracowicie wykonaną.

Długo Złote serduszko nacieszyć się nią nie mogła ciągle nosząc przy sobie, aż pewnego dnia gdy dla przepysznej pogody uprosiła, aby z kościoła wracać piechotą, zastąpiła im drogę biedaczka w łachmanach z trojgiem wynędzniałych dziattek, opowiadając, iż mąż jej niedawno pochowany, a ona niema czem ich żywić.

Nie namyślając się długo, a nie mając czem ją wesprzeć Iza niepostrzeżenie wsunęła żebraczkę za fartuch chusteczkę, szepnąwszy:

— Może za nią dostaniesz chleba dla dzieci.

Lecz czujna ochmistrzyni, zaraz przy ubieraniu panienki do obiadu, dostrzegła brak chusteczki, i zaczęła Izę strofować, że niedbała, gubi tak kosztowne rzeczy, oświadczając, iż doniesie o tem księżnie matce.

I właśnie gdy wchodząc na salę, opowiedzieć to zamierzała, jakby na wybawienie z kłopotu Izy, która, co właściwie zaszło wyjawić nie chciała, wszedł służący niosąc chusteczkę, którą żebraczka od panienki dostała, aby za nią chleba kupić, a odniosła z obawy by ją nie posądzono o jej przywłaszczenie nieprawne.

Naturalnie że biedną uczciwą kobietę, hojną opatrzone jałmużną, nagradzając dobre serce Izi.

Ojciec kupił później dla Izi błękitny powozik, wybity pomarańczową materyą, a zaprzężony, zgadnijcie czem?

Dwoma jak śnieg białymi ogromnymi koźlami, o złożonych rogach; między rogami była karta z napisem:

„Kochający ojciec, Izie, złotemu serduszkowi.”

Izia nie sama się cieszyła tym darem lecz przewoziła z kolei w powoziku wszystkie znajome sobie dzieci.

*Wielisław.*

## LEKKOMYŚLNY FRANUS.

przez

Henryka Wernica.

(Dalszy ciąg).

Chłopcy spojrzeli po sobie, chcąc się porozumieć co mu odpowiedzieć, lecz nieznajomy dodał:

— Nie lękajcie się mnie panowie, domyślam się, że nie idziecie na przechadzkę. Pozwólcie mi przyłączyć się do was, to mnie i wam będzie weselej, bo widzę żeście bardzo zafrasowani.

Ignas spojrzawszy na Franusia szepnął mu pocichu:

— Możeby dobrze było połączyć się z tym panem, zdaje się, że się zabłąkaliśmy a on starszy od nas, zna lepiej niż my drogę; poczem zapytał nieśmiało: Dokąd się pan udaje?

— Dokąd? — powtórzył zapytany — to dziwne pytanie. Wszak dziś wszyscy dążą do Brazylii; tam niewiele pracując, dużo można zebrać pieniędzy.

Wielce podobało się chłopcom, że nieznajomy panami ich tytułował. Nigdy dotąd ten zaszczyt ich nie spotkał. Ignas rzekł:

— I my chcieliśmy udać się do Brazylii, lecz nie wiemy jak się dostać przez granicę.

— Aha, rozumiem — wtrącił nieznajomy — panowie nie mają pasportów! To bagatela, tak doskonale znam wszystkie nadgraniczne manowce jak ulice Warszawy. Odtąd szli już razem, lecz kiedy zbliżali się do miasteczka, leżącego przy gościńcu, nieznajomy zeszedł na boczną drogę, a za nim podążyli Ignas i Franus.

— Bezpieczniej tu — rzekł do nich — tam w miasteczku mógłby nas kto spotkać i spytać o pasporta.

Po godzinnej podróży przez pola zbliżyli się do lasu. Nieznajomy opowiadał im różne ciekawe i zabawne wydarzenia, które rozbieszały i bawiły Ignasia. Franus ciągle był smutny.

— Czy wiecie co — rzekł nieznajomy — musi już być około południa, wartoby spocząć pod tem drzewem i coś przekąsić. Roztworzył węzelek, wyjął z niego sporą bułkę chleba, kawałek wędliny i począł smacznie zjadać; lecz widząc, że chłopcy mają tylko niewielką kromkę, dodał: Siadajcie przy mnie panowie, nie nasyćcie się tą odrobiną, podzielę się z wami tem, co mam. Bardzo was proszę, jedzcie, oto nóż; a widząc, że chłopcy się ociągają, rzekł: W drodze wszystko powinno być wspólne. Przyjmijcie moją ofiarę, jak ja nie będę miał, to chętnie przyjmę waszą.

Chłopcy spożyli, co im nieznajomy ofiarował, poczem udano się w dalszą drogę. Nieznajomy stał się teraz jeszcze bardziej rozmowny; wypytywał Franusia o przyczynę jego strapienia, a tak zřęcznie badał, że ten niepostrzeżenie ze wszystkiego mu się zwierzył.

— Dobrze robicie, że uciekacie — rzekł nieznajomy — bo za zabójstwo umyślne czy nie umyślne surowa jest odpowiedzialność. Niemile uderzyło chłopców, że przestał ich nazywać panami, ale nie dali mu tego poznać, bo obawiali się rozgniewać go na siebie. Wszak posiadał on ich tajemnicę; gdyby chciał, mógłby im bardzo zaszkodzić.

— Nie możemy już wychodzić na gościniec — dodał po chwili nieznajomy. — Pewnie was już poszukują. Idźmy tak jak dotąd szliśmy, najlepiej zaś lasem, tam będziemy najbezpieczniejsi.

Począł się chmurzyć. Około 6-tej godziny niebo ciemniejsze jeszcze pokryły obłoki. Z początku kroplisty, później ulewny deszcz począł padać. Nasi podróżni mogliby zatrzymać się w wiosce, około której przechodzili, ale nie uczynili tego z obawy spotkania się z wójtem, sołtysem lub strażą ziemską. Przemoczeni do nitki wciąż naprzód postępowali. Pod wieczór ujrzeni



zdala jakieś miasteczko. To Turek, rzekł nieznajomy, tu przenocujemy, stąd już niedaleko do granicy.

— To dobrze — rzekł Ignasz do Franusia, który się od godziny uskarżał na dreszcze i pewne osłabienie.

— Niedaleko stąd jeszcze przed miastem jest karczma — dodał nieznajomy — znam jej gospodarza, niezły to człowiek chociaż trochę dziwak.

Znów deszcz zaczął padać.

— Przyspieszmy kroku — zawołał nieznajomy. Po upływie kilku minut, nasi trzej podróżni znaleźli się w oberży. Nieznajomy poufale spytał gospodarza czy niema gotowej wieszerzy, tymczasem kazał podać zimne przekąski i napił się wódki. Wygłodzeni podróżni opróżnili talerz z przekąskami. Podano zamówioną wieszerzę, którą nieznajomy z wielkim spożywał apetytem, znacznie mniej jadł Ignasz, a Franus niczego się już dotknąć nie chciał; było mu jakoś niedobrze. Nieznajomy pił piwo i częstował nim towarzyszy, lecz ci przekładali wodę.

— Macie słusność — rzekł protekcyjnalnie — nie chcecie pić piwa, ale herbata wam nie zaszkodzi. Gospodarzu, każcie nastawić samowar.

Podano herbatę. Nieznajomy zażądał araku. Usłużny gospodarz postawił na stole buteleczkę tego napoju. Nieznajomy dolawszy sporą porcję araku do herbaty, kazał podać cytrynę, położył na szklance łyżeczkę z cukrem zroszonym tym trunkiem i zapalił go. Chłopcy z podziwieniem spoglądali na niego.

— Powiadam wam, że wyśmienity będzie poncz. Skosztujcie — rzekł po chwili, kiedy arak się wypalił, a podawszy każdemu po łyżeczce napoju dodał: — A co, czy nie wyśmienity! Franus drży, a i ty Ignasiu mocno przemokłeś. Aby się uchronić od złych skutków przeziębienia, trzeba się spocić. Posłuchajcie mojej rady, wypijcie najprzód herbatę, a przyrządzę wam taki poncz, że od razu zdrowie wam powróci. — Nie czekając odpowiedzi chłopców, kazał podać jeszcze trzy szklanki herbaty i zajął się przyrządzeniem ponczu. Sprobujcież teraz — rzekł, stawiając przed nimi dwie szklanki — sprobujcie i powiedzcie, czy to nie wyborowy napój?

Chłopcy skosztowali. Aromat i słodycz ponczu zupełnie ich przekonali o jego dobroci; im więcej pili, tem bardziej czuli jakieś ożywcze ciepło. Nieznajomy kazał przygotować łóżko i nawpół sennych odprowadził na spoczynek, a powróciwszy do pokoju gościnnego, przyrządził jeszcze dwie szklanki, jedną dla siebie, drugą dla gospodarza, poczem opuścił salę gościnną.

Chłopcy upojeni ponczem bezwzględnie zasnęli, a chociaż sen ich był dosyć niespokojny, spali bez przerwy i dopiero późno z rana się przebudzili. Spojrzeli na łóżko, na którym spał nieznajomy, było puste. Ubrali się czempredziej i weszli do izby gościnnej, sądząc, że tam znajdą swego towarzysza.

Nagle Franus przypomniał sobie, że nie ma zegarka; machinalnie sięgnął do kieszeni, lecz nie znalazł w niej pieniędzy. Szepnął coś do Ignasia i obaj chłopcy powrócili do pokoju sypialnego. Szukali pod poduszką, przetrząsnęli całe łóżko, nic nie znaleźli. To dziwne — mówili do siebie — przecież nikt obcy nie wchodził do

pokoju. Przyszło im na myśl, że może nieznajomy podczas ich snu na żart wyjął Franusiowi pieniądze, lecz zwróci je niebawem. Uspokojeni tą myślą powrócili do sali gościnnej. Przy śniadaniu spytali gospodarza o towarzysza swej podróży.

— Nie wiem co się z nim stało — odparł gospodarz — tyle tylko wiem, że o 5-ej rano wyszedł na chwilę, a dotąd go niema.

— Ach! — zawołali strwożeni chłopcy — pewnie to on zabrał nam nasze pieniądze i zegarek.

— Nie wiem — mruknął oberżysta; — przed wyjściem zapłacił za siebie, wy za siebie zapłacicie, i podał im pobudzony, potłuszczony kawałek papieru pokryty cyframi, oznaczającemi jego należność. Zapłacicie za nocleg i za to coście jedli i pili — dodał głosem imponującym — i idźcie gdzie się wam podoba!

Chłopcy pobledli, tłumaczyli się, że mieli więcej niż 15 rubli i srebrny zegarek, a to wszystko im zabrano.

— Tu jeszcze nikomu nic nie zginęło — rzekł ostrym głosem gospodarz i dodał z przekąsem — znam się na takich ptaszkach.

Oberża coraz bardziej się napełniała i goście z ciekawością spoglądali na chłopców; jedni ich żałowali, drudzy z nich szydzili, a byli i tacy, którzy poprostu nazywali ich oszustami i radzili gospodarzowi posłać po policję. Gospodarz przetrząsnął ich kieszenie, a nic w nich nie znalazłszy, kazał swemu chłopcu sprowadzić strażnika ziemskiego.

Rozpaczliwe było położenie Franusia i Ignasia. Bardziej jeszcze pobledli niż przedtem, złorzeczyli w duszy swej lekkomyślności. — Teraz nas zwiążą postronkami, pod strażą odstawią do wuja i wtrącą do więzienia za zabicie Walentego — myśleli sobie. Woleliby umrzeć, niż dożyć tej chwili hańby i poniżenia.

— Idzie już dwóch strażników — zawołał chłopiec, wbiegając do oberży.

Istotnie, zbliżała się straż policyjna, której towarzyszyła gawiedź, chcąc się dowiedzieć co zaszło w karczmie.

W tej chwili zajechała ładna bryczka, w której siedziały dwie kobiety. Widząc wchodzących do karczmy strażników, czempredziej weszły także, a ujrawszy chłopców zawołały z płaczem:

— Franusiu!

Franus się wzdrygnął i obejrzał. Była to jego matka i siostra. Spostrzegłszy je oniemiał i bardziej pobladł, nie śmiejąc ich powitać. Zabity Walenty stał mu ciągle na oczach.

Strażnicy usunęli się, a matka i siostra podeszły do Franusia.

— Franusiu, ty tu! — wołała matka obejmując syna; łzy stanęły jej w oczach.

Franus przyjmował pocałunki matki i siostry, ale nie śmiał ich pocałować, bo wyraz zabójco! zabójco! brzmiał mu ciągle w uszach. Nastąpiła krótka chwila milczenia. Franus spoglądał to na matkę, to na siostrę, chcąc we wzroku ich wyczytać, czy Walenty żyje, lecz napróżno! Głębokie wzruszenie nie dozwoliło im domyśleć się tego niemego pytania. Franus cichym głosem wymienił imię Walentego.



— Walenty żyje — odrzekły razem obie kobiety.  
 — Żyje! — powtórzyli z niewymowną radością obaj chłopcy.  
 — Tak jest, żyje — dodała matka i zupełnie prawie jest zdrów.

(d. c. n.)

## GRA W PIŁKĘ.

Towarzysze zabawy wybierają sobie pseudonymy najlepiej według alfabetycznego porządku.

Zaczyna więc grę litera A. Chłopiec, który na tę literę wybrał sobie pseudonym, rzuca piłką o ścianę i równocześnie wywołuje któregoś z towarzyszy, podług jego nowej nazwy; ten powinien odbijającą się piłkę schwycić w powietrzu, i rzuca nią dalej o ścianę do czasu, gdy który z wywołanych pozwoli piłce upaść na ziemię. Podczas gdy ten niezręczny stara się piłkę podnieść, inni rozbiegają się czempredziej w różne strony; muszą się jednak zatrzymać odrazu, gdy łapiący piłkę, znajdzie ją, podniesie z ziemi i zawoła „Stać!” żadnemu ruszyć się z miejsca od tej chwili nie wolno. Teraz, tymczasowy posiadacz piłki, musi nią trafić jednego z towarzyszy, którzy korzystali z jego niezręczności, by jak najdalej uciec. Im bowiem chłopcy dalej stoją, tem trudniej będzie trafić którego. Jeśli chybi, daje fant. Jeśli trafi, to jest wolny, a na trafionego kolej, piłką znów o ścianę rzucić i któregoś z towarzyszy do łapania jej wezwać. Tym sposobem gra jest urozmaicona. Łapanie i celowanie piłką następuje po sobie kolejno. Jeśli który z chłopców jest tak niezręczny, że dał już sześć fantów, następuje w grze przerwa; tworzy się sąd na nieszczęśliwego. Wyznaczają mu karę, którą ma odpokutować swą niezręcznością, np. każdy z kolegów ma prawo uderzyć go raz piłką zdaleka, lub coś innego w tym rodzaju.

## SZARADA.

od Jagódki z pod Arkadyi dla Figlarki.

*Pierwsza* w rzece płynie  
 Potem w morzu ginie,  
*Drugi* wszyscy znają  
 Co ubranie mają.  
*Wspak* trzecią znajdziecie  
 W każdym alfabecie  
 Razem autor znany  
 Bo licznie czytany.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

ułożył Puszczyk leśny.

Rząd środkowy i środkowe litery wyrazów, z następującem znaczeniem powinny utworzyć nazwę rzeki w Afryce:

1. Spółgłoska.
2. Roślina z rodziny makowatych.
3. Rodzaj owadów z rzędu dwuskrzydłych, przebywa najliczniej w okolicy bagnistej.
4. . . . .
5. Jezioro, rzeka lub miasto w Rosyi.
6. Dowód smutku lub boleści.
7. Samogłoska.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 25-go.

*Zagadki:* Jaskółka.

## Łamigłówki sylabowej:

1. Żółkiew. 2. Ów. 3. Ren. 4. Amur. 5. Warna. Żóraw.

## Skrzynka do listów.

**Stasi i Tereni P.** zaszliśmy wyrazy serdecznego współczucia z powodu straty rodzinnej, która je spotkała. Ze zwróconych nam pieniędzy pozostało 10 kop: i te, podług życzenia kochanych naszych korespondentek, składamy na kolonie letnie.

Nie wiemy, czy i inne zebrania astronomiczne bywają równie „wesole”, jak to, w którym brały udział **Reginka Schr. i Gin-ka Kr.**, ale miło nam słyszeć, że panienki łączą naukę z rozrywką ich wiekowi właściwą, co zapewne zawdzięczać należy rozumnemu kierownictwu osoby, przewodniczącej ich wychowaniu. Niestety! komedyyek *śmiesznych i dowcipnych* dla teatrzyku amatorskiego dla dzieci niema do wyboru. Znamy jedną w tym rodzaju p. M. Grabowskiej pod tytułem „Grymasnica ukarana” ale nie wiemy czy czytelniczki nasze jej właśnie nie mają? Prosimy o słowo odpowiedzi na odkrytej kartce pocztowej.

Trafnym jest domysł kochanej **Jag:** tyczący się pseudonymu. Z trzech nowych radzimy wybrać: **Przyjaciółka Mamy**, nie tylko bowiem jest ładny, lecz i sam za siebie mówiący. Nagrody winszujemy, a w obec takich jak egzamina przyczyn milczenia, słabnie uraza nasza. Prosimy jednak nie zapominać o Redakcyi, gdzie wszyscy a wszyscy chętnie przyjmują uściski pilnych i pracowitych dziewczynek. Konkurs robót już ogłoszony; ilość przysłanej roboty zależy od dobrej woli ofiarodawczyń, staranność zaś w odrobieniu jest konieczną. Za pamięć o ubogich dzieciach serdecznie dziękujemy.

Najwymowniejszem z podziękowań jest chyba stare nasze „**Bóg zapłać!**”; przesyłamy je też **Kozakowi Sawie**, który złożył na kolonie letnie, nowiuteńkami dziesiątkami rubla, zebranego zapewne z własnych oszczędności.

**P. Izabelli Krz:** oraz **p. Perz:** posłaliśmy powtórnie numera, które zapewne na pocztce zginęły.

**Marynia R. i Jancia Wal.** nadesłały trafne rozwiązania zagadek.